Nr. 195 Lwów — Niedziela dnia 24 Sierpnia. Rok 1902.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: E. 14 po S. Bartł. Euplusa M.
Jutro: św. Ludwika Kr. Focynsza
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca o g. 5 m. 13
Zachód „ „ 6 m. 48
Długość dnia godzin 13 minut 35
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Wiec narodowy.

Rozesłano po kraju odezwę, zapowiadającą zwołanie w nieoznaczonym jeszcze bliżej terminie wiecu narodowego, który, jak to zaznaczono w tej odezwie, ma zbliżyć na polu pracy narodowej „różne stronnictwa, warstwy społeczne i dzielnice Polski". Do odezwy tej dołączono prospekt odbyć się mającego wiecu, poruszający obok tak olbrzymich zadań, jak reforma obyczajów, lub uświadomienie narodowe wszystkich warstw społeczeństwa, także szowinistyczne zabytki najnowszej doby, jak postulaty: wyrzucenia pism niemieckich z kawiarń i restauracyj, piętnowanie w dziennikach tych osób, które rozmawiają po niemiecku na ulicy, w lokalach publicznych lub pociągach kolejowych i t. p.

Znajdują się, oczywiście, jak w każdem społeczeństwie, tak i u nas, fantaści, którym się zdaje, że urządzaniem wieców można rozwiązać najtrudniejsze problematy reform społecznych i narodowych, my jednak do nich nie należymy i dlatego oświadczamy się stanowczo przeciw myśli zwołania projektowanego wiecu narodowego, gdyż uważamy ją za chybioną i wręcz szkodliwą. Gdyby granice Polski zamykały się w granicach Galicyi, to może inaczej zapatrywalibyśmy się na tę sprawę, korzystamy tu bowiem wszelkich swobód konstytucyjnych, więc w rezultacie jeden wiec mniej lub jeden więcej nic nam zaszkodzić nie może. Wszelako byłoby to grzesznym egoizmem stawać na tem stanowisku, że skoro nam nic stać się nie może, przeto powinniśmy wiecować. Musimy przecie oglądać się także na braci naszych pod zaborem rosyjskim i pruskim i zdawać sobie sprawę z tego, czy zwołanie zamierzonego wiecu narodowego, choćby to było w najpoczciwszej intencyi, nie zaszkodzi im w czemkolwiek. Otóż co do tego, jesteśmy najgłębiej przekonani o tem, że wiec taki musi im zaszkodzić. Podnieci on bowiem niewątpliwie zarówno w Prusiech jak i w Rosyi obóz zajadłego prześladowania Polaków pod pretekstem obrony zagrożonych interesów państwowych. Bierzmy tylko rzeczy ze stanowiska psychologii duszy ludzkiej. Przecie jasnem jest, że gdy kto się znęca nad drugą, słabszą od siebie istotą, to w sumieniu [illegible] im mniej powodów daje mu ona do tego, a pewną ulgę czuje wtedy, gdy ona go drażni i ułatwia mu przez to okłamywanie własnego sumienia i umotywowanie czynów nikczemnych. Dlatego też wiec taki poda wodę na młyn tych czynników, które kierują dzisiejszą antipolską polityką pruską i usprawiedliwi ich do pewnego stopnia wobec wszelkiej, bezstronnej części społeczeństwa niemieckiego.

Dla czynownictwa zaś rosyjskiego w ziemiach polskich wiec ten będzie także gratką nielada, gdyż jemu zależy ogromnie wiele na tem, ażeby utrzymywać sfery petersburskie w wierze, że w ziemiach polskich wciąż się odbywa ferment, wymagający nadzwyczajnej ostrożności i zatrzymania nadal systemu, wprowadzonego po ostatniem powstaniu 1863 r. Czynownik w ziemiach polskich jest w nieskończenie lepszem położeniu, niż koledzy jego w guberniach rosyjskich, pobiera on bowiem podwójną pensyę, ma szybszy awans i może swe dzieci wychowywać bezpłatnie w instytucyach państwowych. Kosztuje to państwowy skarb rosyjski kilkadziesiąt milionów rocznie i minister finansów już przez sam wzgląd na ulżenie skarbu pragnąłby zniesienia owych wyjątkowych przywilejów, jakich zażywają czynownicy w Królestwie polskiem, ale przeszkadza temu czynownictwo ustawicznem doniesieniem, iż umysły w Polsce jeszcze się nie uspokoiły i że coś się przygotowuje. Dla czynowników więc będzie ten wiec galicyjski prawdziwie manną z nieba i będą niezawodnie wdzięczni tym, który ten wiec zwołują, za to, że dostarczają im tematu do denuncyowania społeczeństwa polskiego, jako przygotowującego jakąś krwawą rewolucyę. Wiec ten wystarczy im za wszystkie argumenty, przemawiające za dalszem zatrzymaniem obecnego systemu, a tem samem za dalszem gnębieniem Polaków. A zatem ze względu na interesa Polaków w Rosyi i w Prusiech uważamy myśl zwołania wiecu za bardzo szkodliwą. Szkodliwą ona jest także dla interesów Polaków na Szląsku i na Bukowinie, gdyż musi ona wywołać pewne podrażnienie i podejrzliwość wśród innych narodów, zamieszkujących te kraje. Rozumni ludzie robią, a nie gadają wiele, tak też i my pracujmy dla polskości na Szląsku i na Bukowinie, ale czynem, a nie tylko słowem.

Tyle co do politycznej strony sprawy. Co się zaś tyczy praktycznej, to również nie możemy dopatrzeć się najmniejszej korzyści projektowanego wiecu. Nikt przecie nie będzie uważał zwołanego tego wiecu za pełnomocnika narodu. Nie zasiądą na nim przecie mężowie, wyszli z wolnego wyboru na Litwie, w Królestwie polskiem, na Wołyniu, w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich, lecz przyjadą jednostki, które same siebie wybiorą i które będą miały prawo przemawiać chyba w imieniu jakiejś koteryjki, przenigdy jednak w imieniu narodu. Uchwały takiego wiecu nikogo nie mogą obowiązywać i wartość jego będzie nie większa, jak pierwszego lepszego zgromadzenia socyalistów lub ludowców gdziekolwiekbądź w Galicyi.

Więc po cóż właściwie ta demonstracya, skoro ani politycznej, ani praktycznej korzyści ona przynieść nie może! Jako stwierdzenie żywotności naszego narodu jest ona zupełnie niepotrzebna, bo chwała Bogu naród nasz składa dowody swej żywotności na każdym kroku w sposób nierównie wspanialszy, komu zaś ona podobać się może jako objaw junactwa, temu odpowiadamy, że w polityce robi się postępy tylko rozumem i rozwagą, a nie robi się żadnych junactw.

Nowe szalbierstwo „uszczęśliwiaczy" ludu.

Wiadomo, że przed strejkiem i podczas niego uwijali się po naszych wschodnich powiatach rozmaici akademicy i studenci, najczęściej synowie chłopów lub xięży, organizowali komitety strejkowe i rozdawali ludowi napisane przez siebie katechizmy rewolucyjne.

Tacy sami „akademicy" rozwinęli teraz w Królestwie Polskiem i w innych naszych ziemiach za rosyjskim kordonem nową haniebną propagandę między ludem, przeciw której wystąpił z okólnikiem petersburski minister spraw wewnętrznych, nakazując wyłapywać tych podżegaczy i oddawać ich sądom.

Oto, taka jest ich robota: Wiadomo, że w ziemiach litewskich i białoruskich istnieje od lat kilkunastu, a w Królestwie od lat dziesięciu rządowy bank włościański, który pożycza chłopom pieniądze na kupowanie i parcelowanie folwarków. Pożyczki te z reguły bywają bardzo wielkie, bo dochodzą do 90% wartości nabywanej ziemi. Chłop, łakomy na ziemię, nabywał jej w ten sposób dużo, a potem rat nie płacił, wskutek czego bank włościański wykazuje już milionowe zaległości. Wynika stąd dla rządu ogromna trudność, bo gdyby chciał odbierać od chłopów ziemię, toby się naraził na rokosz, a nie ma skąd wziąć na procenta od kapitałów, które sam pożyczył za granicą na uposażenie banku włościańskiego. Na razie postanowił tedy nieco powstrzymać parcelacyę dóbr szlacheckich przy pomocy tego banku i w tym celu wydał tak zwaną „tablicę maksymalną", pokazującą ile w każdej miejscowości wolno chłopu kupić szlacheckiej ziemi za pieniądze banku. Za gotówkę wolno mu nabyć ile chce, ale za pożyczkę bankową może tylko pewne maksymum, które wynosi, stosownie do miejscowości, dziesięć, piętnaście, ośmnaście i t. d. morgów. Otóż jątrzyciele wytłómaczyli chłopom, że tyle, ile dla ich miejscowości zawiera „tablica maksymalna", mogą oni natychmiast zabrać sobie z dworskich gruntów, wcale nie pytając właściciela, czy on chce sprzedać. Gminie wystarczy zawiadomić bank włościański, że po tyle-to a tyle morgów na każdego chłopa wykroiła sobie z dworskich łanów, a bank już tam się ułoży z szlachcicem. W ten sposób postanowił car powoli oddać całą ziemię samym chłopom. Przecież zupełnie tak samo, bez pytania szlachciców, zabrano im część ziemi dla chłopów, gdy znoszono pańszczyznę. Ale wtedy źle się obliczono, za mało wzięto ziemi dla chłopów, więc teraz postanowiono to naprawić.

Prawie wszędzie chłopi udali się do banku włościańskiego, aby wykupił obszar dworski i oddał go im, bo oni sami nie mogą przekonać właściciela, że musi im ziemię ustąpić. Lecz były także takie wypadki, że chłopi wprost zabrali sobie łany dworskie, a właścicielowi ich poradzili, aby się po pieniądze udał do banku włościańskiego.

Okólnik ministra spraw wewnętrznych nakazuje surowo ścigać „wykrętnych tłómaczy" ustawy o maksymalnej ilości ziemi, możliwej do nabycia przy pomocy banku, albowiem „ich szkodliwa agitacya zachwiewa w oczach ludu niewzruszoność prawa posiadania ziemi, potwierdzonego wyraźnie z wysokości tronu w uroczystych dniach koronacyi ich cesarskich mości".

Szkoda, że w państwie rosyjskiem dotąd jeszcze trzeba to prawo potwierdzać przy koronacyi każdego cara, lecz o wiele większą dla społeczeństwa szkodą jest to, że jego ogromna ofiarność na oświatę ludową wydaje takie rezultaty, jak ogołocenie wiosek z roboczego ludu i rozmnożenie się socyalistycznych przewrotowców, którzy u nas urządzają po wsiach komitety strejkowe i podżegają chłopów do anarchicznych awantur, a za kordonem zachęcają ich do zajazdów na dworskie łany.

Niepowodzenie syonistów.

Istnieje w Wiedniu „komitet wykonawczy" syonistów, tam też wychodzi ich „centralny organ" *Die Welt*, wydawany pod nadzorem twórcy syonizmu, współpracownika *Nowej Pressy*, dra Herzla. W tym centralnym organie pojawił się teraz taki komunikat:

„Po dziesięciodniowym pobycie w Konstantynopolu, powrócili z niego: dr. Teodor Herzl, prezes syonistycznego kongresu, i dr. Wolfsohn, prezydent żydowskiego banku kolonialnego. Pierwszy z nich był gościem sułtana, który przyjął go „mit der grössten Auszeichnung" i przez kilka dni wspólnie z wielkim wezyrem, jeneralnym swym sekretarzem, wielkim ochmistrzem dworu i naczelnym skarbnikiem kasy sułtańskiej prowadził z nim rokowania, które, niestety, pozostały bez rezultatu. Dr. Herzl przedstawił kilka memoryałów, w których dokładnie wyłuszczył treść i cel syonizmu, oraz warunki, na jakich mogą powstać na jakiemś jednem wielkiem terytoryum kolonie żydowskie, nie sąsiadujące z wioskami innej ludności, a to bądź w Palestynie, bądź w pobliżu niej. Te memoryały były bardzo gruntownie zbadane przez tureckich dostojników i pozyskały ich pełne uznanie. Sam sułtan dobitnie zaznaczył swe sympatye dla żydów, ale ze swej strony podyktował takie warunki, których dr. Herzl nie mógł przyjąć bez zboczenia od zasad syonistycznych. Tak tedy rokowania zostały przerwane, ale sułtan polecił oświadczyć drowi Herzlowi na wyjezdnem, że bardzo go poważa i chętnie go znowu zobaczy. Stosunki nie są zatem zerwane zupełnie, owszem, pozwalamy sobie mieć nadzieję, że te korzyści, które przedstawia sułtanowi syonistyczny program, będą w końcu ocenione podług słuszności, a wtedy rząd turecki pozwoli zakładać wioski żydowskie na warunkach jakich się domagamy".

W tym komunikacie dra Herzla nie powiedziano, jakieto sprzeczne z syonistycznemi zasadami warunki postawił sułtan, ale skoro z jednej strony brał udział w rokowaniach dyrektor żydowskiego banku kolonialnego, a z drugiej strony sułtańscy: ochmistrz, sekretarz i kasyer, to zapewne się nie omylimy w przypuszczeniu, że przerwano rokowania z przyczyn pieniężnych. Wiadomo, że z Turkami trzeba się bardzo targować. A ponieważ sułtan polecił powiedzieć odjeżdżającemu doktorowi Herzlowi, że go poważa i radby znowu zobaczyć, przeto istotnie interes nie jest jeszcze stracony.

Być zresztą może, że teraz niepodobna było dobić targu z powodu sprawy libańskiej. Teraz musi być wybrany gubernator Libanu, którego nominacya zależy od zgody kilku opiekuńczych mocarstw: Austryi, Anglii, Francyi i Rosyi. Otóż mocarstwa jeszcze nie przystały na żadnego tureckiego kandydata, ponieważ Rosya proteguje jakiegoś Araba, wyznającego jedną z sekt chrześcijańskich, a ożenionego z prawosławną Rosyanką. Gubernator Libanu wywiera wielki wpływ na stosunki w całej Palestynie, więc dopóki go nie ma, trudno zadecydować o kolonizacyi żydowskiej.

Spór o Morskie Oko.

Grac 22 sierpnia.

Na pierwszych dwóch posiedzeniach sądu rozjemczego, które odbywają się w godzinach przedpołudniowych, przedstawili zastępcy Węgier, arbiter Koloman Lehoczky i referent Laban argumenty, na jakich Węgrzy opierają swe roszczenia. Głównem ich twierdzeniem jest, że od niepamiętnych czasów granicą między Węgrami a Polską była Białka od swego źródła aż do wpływu do Dunajca. W wieku XVII posiadali Węgrzy cztery wsi nawet po za Białką, t. j. po stronie zachodniej, mianowicie: Białkę, Brzegi, Leśnicę i Bukowinę, wsie, które odebrał im przemocą starosta nowotarski Komorowski. Upominali się o nie, ale bezskutecznie. Ostatecznie teraz już odstąpili od żądania owych czterech wsi po za Białką, ale nie mogą odstąpić od tego, że Białka jest granicą mokrą od miejsca, gdzie wypływa pod Rysami, aż do ujścia do Dunajca. Ponieważ, jak twierdzą, przed zaborem Komorowskiego posiadali cztery wsi po za Białką na stronie zachodniej potoku, musiał eo ipso obszar, dzisiaj sporny, na wschodniej stronie należeć do Węgier. Dopiero — wedle ich twierdzenia — spór zaczął się w roku 1824; mimo to obszar sporny, jak mówią, należał zawsze, aż do dnia dzisiejszego, do Węgier.

Drugiem głównem twierdzeniem Węgrów jest zdanie, że Białka poczyna się pod Rysami, wpływa do Czarnego Stawu, dalej do Morskiego Oka, a płynąc z niego do potoku Białej Wody, stanowi potok główny, źródłowy, granica zatem może tylko iść od Rysów za biegiem tej tak uważanej Białki. Z naszem twierdzeniem przeciwnem, że Białka nastaje w dolinie Białej Wody załatwiają się szybko, utrzymując, że tak nie jest, bo każda rzeka ma początek, a tego należy dla Białki szukać w obu jeziorach, w Czarnym Stawie i Morskiem Oku, które, jak się wyrazili, nie są niczem innem, tylko rozszerzeniem koryta Białki!

W ciągu swoich wywodów korreferent Laban przedstawił protokół w sprawie zatargu granicznego między Węgrami a Galicyą z 1834 r., z którego wynika, że granica między oboma stronami spornemi szła wówczas przez sam środek Morskiego Oka. Gdy jednak superarbiter dr. Winkler zwrócił się do Lehoczky'ego z zapytaniem, czy protokół ten nosi na sobie podpisy także i zastępców Galicyi, Lehoczky okazał wielkie zakłopotanie. Pomógł mu dopiero Laban, oświadczając, że choć na protokole brak tych podpisów, nie ulega jednak żadnej wątpliwości, iż jest on autentyczny i wiarygodny.

P. Laban, który reprezentuje na rozprawie rząd węgierski, twierdzi dalej, że układ zawarty w r. 1858 między Palocsayami a Homolacsami nie był tylko układem prywatnym, krajów nie obowiązującym, lecz przeciwnie, obowiązuje Węgry i Galicyę. Nie uwzględnia jednak p. Laban tej okoliczności, że władze polityczne Galicyi nie zatwierdziły tego układu. Z dawniejszych stuleci powołują się Węgrzy na układ sprzedaży z Olbrachtem Łaskim z r. 1589 i na jakiś dokument z r. 1793. Przedkładają też rozmaite mapy, które nibyto ich pretensye uzasadniają.

Arbiter węgierski Lehoczky jest już człowiekiem sędziwym, który z trudem przemawia. Natomiast radca apelacyjny Laban, człowiek w sile wieku, z czarną brodą, mówi szybko, ruchy ma żywe i co chwila wyręcza znużonego arbitra. Radca sekcyjny Bölcs, jasny blondyn, powolny w ruchach, dobywa mapy i papiery z fascykułów i podaje je rzecznikom.

Polscy członkowie trybunału nie są bynajmniej zbici z tropu argumentacyą Węgrów, przeciwnie, od czasu do czasu, gdy rozumowanie ich staje się zbyt widocznie naciągane, uśmiechają się. O ile można poznać, superabiter Winkler, ciemny blondyn, słusznego wzrostu, lat około 50, również poznaje się na tych lukach i niedostatkach dowodzenia. Niewątpliwie czyni na nim wrażenie i to, że społeczeństwo węgierskie, w przeciwieństwie do polskiego, zupełnie sprawą tą się nie zajmuje i za narodową jej nie uważa. Nie ma na rozprawie ani jednego dziennikarza węgierskiego, a słuchaczami są również sami tylko Polacy. Oprócz sprawozdawców dziennikarskich przybyli: delegat Towarzystwa Tatrzańskiego, dr. Stanisław Eliasz-Radzikowski ze Lwowa, właściciel Zakopanego hr. Władysław Zamoyski, adwokat krakowski dr. Tadeusz Bednarski, adwokat z Poznania dr. Celichowski, X. Jurkiewicz ze Lwowa, poseł Włodzimierz Kozłowski i zamieszkały tu dr. Ludwik Gumplowicz, profesor tutejszego uniwersytetu.

Prasa miejscowa, oraz wiedeńska i wogóle niemiecka, nie okazuje zupełnie zainteresowania dla całej sprawy. Jedynie organ socyalistów tutejszych *Arbeiterwille* poświęca jej osobny artykuł, w którym posuwa się do twierdzenia, że jest to właściwie spór prywatny, który tylko dlatego sprowadzono na drogi państwowe, że sprzeczają się ze sobą dwaj magnaci, za skąpi, aby z własnej kieszeni koszta sądowe opłacić.

Po wywodach Węgrów nastąpi przemowa polskiego arbitra p. Tchórznickiego. Polskie akta, ułożone w 16 fascykułach, zajmują cztery skrzynie; oprócz tego pp. Tchórznicki i Balzer przywieźli całą bibliotekę dzieł, przemawiających za naszą sprawą. Po przemowach obrońców może przyjść do uchwalenia wizyi lokalnej, bez czego jednak może się też sprawa obejść.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, rozprawa skończy się jeszcze w tym miesiącu. Gdzie zapadnie wyrok: w Galicyi czy na Węgrzech, dotąd jeszcze nie wiadomo. Najprawdopodobniej jednak wyda superarbiter dr. Winkler wyrok pisemny, zaraz za swoim powrotem do Lozanny.

---

35)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść

(Ciąg dalszy).

Orkiestra przeszła w inną melodyę.

Roman pochylił się ku Oldze.

— Słyszy pani?

Skinęła głową.

To był ten sam walc, który grano wtedy, w dzień ich zaręczyn, ten walc, przy którego dźwiękach oni w upojeniu szeptali sobie niegdyś: „Kocham cię, kocham!"

— Tańczmy... czy dobrze?

Podniosła na niego oczy pełne zarazem szczęścia i bólu, mówiące więcej niż długie słowa wyznania i w milczeniu oparła mu rękę na ramieniu.

Zaczęli tańczyć, w gorących, różnobarwnych smugach światła, padających z góry, czerwonych, jak krew lub pożar, blado-zielonych, smutnych i sennych, jak światło księżyca, żółtych jak słońce, jak roztopione złoto, błękitnych, fioletowych, różowych, jak jutrzenka. Walc brzmiał wciąż, cichy, tęskny, upajający.

Dokoła uśmiechał się i płynął przy tych tonach walca cały jakiś świat, jak z zaczarowanej bajki — cyganki o płomiennych oczach, pasterki uwieńczone kwiatami, markizy z pudrowanemi głowami, Hiszpanki, Turczynki, wróżki, królowe, chochliki, rycerze w srebrzystych pancerzach, francuscy markizowie w koronkach i jedwabiach...

Wszystko to tańczyło, kręciło się wokoło sali, w tem świetle barwnem i mrocznem...

Jak długo to trwać mogło, nie wiedzieli sami, ci dwoje.

Odnaleźli się wreszcie po latach całych tęsknoty i rozłączenia i snem zdawała im się być chwila obecna.

Olga oprzytomniała dopiero na twardy, such głos jakiś, który zabrzmiał nagle tuż za nią.

Czar zniknął. Muzyka grać przestała. Różnobarwne światła pogasły; w sali panowała znów zwykła, jednostajna jasność lamp elektrycznych — a mąż jej stał obok niej, trzymając w ręku długą, podbitą futrem balową jej zarzutkę, patrzył jej w oczy podejrzliwie, zawistnie, i mówił sucho:

— Już późno. Jedziemy do domu.

Ona nie opierała się, nie odpowiedziała mu zimno i wyniośle, jak zwykle, tylko uśmiechnęła się jakoś sennie i zapatrzona przed siebie, jakby nie wytrzeźwiona jeszcze z tej chwili czaru, odparła cicho:

— Dobrze, jedźmy...

X.

Przez cały następny dzień Olga nie wyszła wcale ze swego pokoju.

Do samego wieczora prawie leżała w łóżku, z rękami podłożonemi pod głowę, patrząc w sufit, malowany w delikatne barwy różowe i blado niebieskie, a myśli jej, jakby w błędnem kole zaklęte, krążyły wciąż w koło jednego tylko przedmiotu, nasuwały uparcie, przemożnie, jeden obraz tylko — wczorajszy wieczór i ten walc.

Ściemniło się już; z za okien, z ulicy, wpadać zaczęły do pokoju długie, jasne smugi światła latarni elektrycznych.

Olga wstała, zarzuciła na siebie różowy, jedwabny szlafroczek, ubrany koronkami, włosy rozpuszczone skręciła w duży węzeł i przepięła szyldkretową szpilką — i wolnym, znużonym krokiem zaczęła przechadzać się po pokoju.

Zegar wybił szóstą.

Dziś środa, dzień, w którym popołudniu przyjmowała Żelska. Schodzą się tam już zapewne.... Może on tam dziś będzie... on... Roman...

I przez krótką chwilę przejęła ją gorączkowa chęć, by ubrać się coprędzej i jechać tam, żeby zobaczyć go, choćby tylko przez minut kilka.

Jakim on byłby dzisiaj?

Czy tym obcym, zimnym, a uprzejmym, jakim był od chwili spotkania z nią aż do wczorajszego balu — czy tym co wczoraj, podczas tego upajającego walca, w tych gorących, różnobarwnych blaskach, tym dawnym Romanem, z którego oczu wyzierało uczucie bez granic, na którego ustach drgało niewypowiedziane wyznanie miłości? Uśmiechnęła się rozkosznie do własnych myśli.

Nie znienawidził jej, nie gardził nią, jak się tego lękała przez te długie lata rozłączenia — uczucie jego dla niej, choć zranione i podeptane, było dość potężnem, by przeżyć nawet taki zawód, i dziś, gdy spotkali się znów, odżyło w całej pełni — tak jest, czuła to i widziała jasno w tej chwili.

Więcej niż słowa jeszcze, powiedziało jej o tem to gorące a tak pełne smutku spojrzenie jego, wtedy, gdy muzyka grała walca, tego samego, co w dzień ich zaręczyn...

Kocha mnie! Kocha! — wołał w duszy jej głos jakiś radosny, i świadomość ta naraz przejęła ją takiem niezmiernem uczuciem szczęścia, że w tej chwili poznała i zrozumiała wreszcie, że i ona, jak dawniej, kocha go duszą całą.

Lecz zarazem, w tę radość, w ten zachwyt miłosny, który, jak potokiem światła zalał nagle jej duszę — jakby cień czarny, jakby zgrzyt, wpadło zabijająco trzeźwe, pełne jakiejś bolesnej ironii pytanie:

Co dalej będzie?

Co będzie? Pocóż myśleć o przyszłości? Pocóż niepokojem zatruwać sobie chwilę obecną?

Kochają się i dość na tem. Mniejsza o ludzi, mniejsza o świat cały, im nikogo i niczego już nie potrzeba — oni kochają się! Odnaleźli się wreszcie, po tylu latach!

Dwie drogi teraz przed nią — dwie drogi, przed któremi ona zarówno cofa się i drży — albo odepchnąć go, tego ukochanego, który był i jest jedyną miłością jej życia, wyrzec się go i stracić na zawsze, albo stać się tem, czem były tysiące innych kobiet, upadłą i splamioną.

Z jednej strony była tęsknota i niedola, z drugiej hańba, wstyd, wstyd straszny, gorzej niż przed ludźmi, wstyd przed Bogiem i własnem sumieniem, wstyd, który prześladowałby ją nieubłaganie i zatruwałby jej każdą chwilę — nawet przy nim, nawet w jego objęciach!

A wyrzec się, stracić go po raz drugi nie mogła, nie miała siły!

Czyż nie było żadnej pośredniej drogi, żadnego wyjścia z tego zaklętego koła? I nagle, jak tonący człowiek chwyta się słabej deski, miotanej przez fale, ona uczepiła się rozpaczliwie zwodniczego obrazu, który bywa zarazem złudzeniem i najniebezpieczniejszą pokusą każdej kobiety uczciwej, której serce zabije zakazanem uczuciem.

Miłość zamienić na przyjaźń — stłumić, ujarzmić wszystko, co w niej było ziemskiego i zbyt namiętnego; uczynić ją całkiem czystą, bez żadnych pragnień i bez żadnej nadziei — i żyć tak z nim razem w tym wyższym, lepszym, idealnym świecie ducha, kryjąc to swoje szczęście przed ludźmi, którzy nie byliby zdolni zrozumieć go, którzy wiedząc wszystko, ruszyliby może ramionami z szyderczem politowaniem.

Lecz przedewszystkiem nie stracić go! Raczej wszystko, niż to!

Widywać go ciągle, codzień, słuchać jego głosu, patrzeć w te oczy ukochane, mówiące o miłości wielkiej i wiernej, dzielić się z nim każdą myślą, każdą radością i smutkiem.

Takie życie potrafiłoby jeszcze dać jej szczęście, o! jakież inne, o ile wyższe i lepsze od dotychczasowej pustej zabawy!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Co i o czem piszą.

Wychodząca we Lwowie *Gazeta Świąteczna* w bardzo dobrym artykule omawia sprawę zalewu sądów we wschodniej Galicyi urzędnikami Rusinami i wykazuje, że winę w tem ponosi sama inteligencya polska, która stroni od karyery sądowniczej, lękając się zbyt wielkiej pracy oraz niewygód, połączonych z posadami sądowemi na prowincyi. Pisze ona mianowicie:

Możnaby nietylko przeboleć wzmaganie się żywiołu ruskiego w naszem sądownictwie, ale nawet radośnie je witać, gdyby to byli Rusini.... innej barwy. Gdyby ci ludzie, kochając swoje ideały wolnościowe, swój język, zwyczaje i obyczaje.... nie widzieli celu swej akcyi narodowej jedynie w zaciekłej walce z narodem polskim.... w walce, która zupełnie jawnie stawia alternatywę: albo nas, albo was wezmą stąd dyabli — ale razem obok siebie żyć nie możemy! Juści tacy Rusini nie mogą być dla nas pożądani na tak niesłychanie ważnym i rozległym obszarze życia społecznego, jak sądownictwo, zwłaszcza, gdy zaczynają formalnie już zalewać to sądownictwo.... Należy przeto — bodaj późno, aniżeli nigdy — zastanowić się raz spokojnie nad przyczynami tego zalewu, w przyszłości — być może — bardzo, a bardzo dla nas groźnego.

Dość często słyszeć można zarzut — co prawda półgębkiem tylko wypowiadany — że sprawcą częściowego (na razie) zrutenizowania tych sądów naszych, jest nikt inny, jak tylko szef lwowskiej apelacyi, dr. Tchorznicki. W swojem wygórowanem, typowo polskiem poczuciu sprawiedliwości i bezstronności — zdaniem wielu — p. prezydent przymykał oczy na zapełnianie się sądów wschodnio-galicyjskich kandydatami ruskimi i w ten sposób dopuścił do nierównomiernego stosunku tego żywiołu z polskim. Owóż twierdzimy stanowczo, że w tym zarzucie nie ma ani krzty prawdy! Nie szukajmy kozła ofiarnego, nie zwalajmy całej winy na tak dzielnego i zasłużonego ze wszech miar obywatela, jakim jest prezydent Tchórznicki. Nie on bowiem spowodował rutenizacyę tych sądów, lecz pośrednio my sami! Zamiast synów naszych pchać masami — jak to od lat czynią Rusini — do sądownictwa, pozwalamy na to, aby ledwie mały ich procent ten zawód sobie obierał. Olbrzymia zaś reszta, mając do wyboru rodzaj służby państwowej czy publicznej, decyduje się raczej na każdy inny, aniżeli na sądowniczy. A wiecie dlaczego? Bo w tem sądownictwie trzeba ciężko pracować, bo sądy powiatowe mieszczą się dość często w obskurnych mieścinach górskich i zapadłych od świata odciętych zakątkach, gdzie dla „paniczów" i pieszczochów, ich mamy lękają się wszelakich niewygód, braku mieszkań odpowiednich, braku „towarzystwa" i t. d. Tymczasem Rusini, od dziecka najczęściej przyzwyczajeni do tych niewygód i braków, wcale nie reflektują na tego rodzaju nieodłączne od karyery sądowniczej trudy i przeszkody. Natomiast wiedzą oni o tem dobrze, że mając w ten sposób sądy powiatowe w swych rękach, będą mieli także i lud wiejski za sobą i dla siebie...

Uświadomieni dziś narodowo — nie mając ni szlachty swojej, ni obszarów ziemskich, ni tego wszystkiego, co daje wielowiekowa historya, tradycya i cywilizacyjna praca, pragną, zupełnie zresztą słusznie, zapanować nad ludem, którego miliony dać im mogą szeroką, granitową podstawę do politycznej i materyalnej egzystencyi. Rzucili się przeto tłumnie na sądownictwo, bo tam przedewszystkiem znaleźli puste, niezajęte przez nikogo posterunki, a następnie na tych posterunkach — jak rzekliśmy wyżej — mogą bez porównania łatwiej i szybciej lud ruski zawojować. Kto ma sąd, ten ma i wpływ i władzę nad ludem — to jest pewnik, niczem nie zbity!

Zapytamy teraz krótkowidzów naszych, którzy zamiast siebie samych, obwiniają z lekkiem sercem świat cały, co ten prezydent apelacyi — jako taki — ma zrobić, gdy jest do koniecznego obsadzenia dajmy na to 100 posad w sądach powiatowych — a ukwalifikowanych kandydatów polskich zaledwie 30—40 proc., natomiast ruskich 60? Obsadzić te posterunki przecie musi — więc skądże ma brać młodzież polską, aby przynajmniej równy był stosunek procentowy obu narodowości? Siebie przeto i tylko siebie wińmy, jeśli dzisiaj mamy tutaj sądy, niemal wyłącznie Rusinami zapełnione! Nie szukajmy dla naszych synów lżejszego chleba, lecz pamiętajmy, że nasi następcy będą mieli nietylko obowiązek utrzymać siebie i swe rodziny z pracy rąk i głów swoich, lecz także podtrzymywać żywioł polski na równie ważnych stanowiskach w społeczeństwie, jak sądownicze — i starajmy się jak najrychlej naprawić błędy nasze.

Toż lat temu przeszło 20 ś. p. prezydent Schenk — acz Niemiec z rodu, przychylny szczerze Polakom — tak się odezwał pewnego razu w zaufanem kółku: „Ja tego nie dożyję — ale wy zobaczycie, że przez stronienie młodzieży polskiej — a zwłaszcza szlacheckiej — od służby w sądownictwie, nastaną czasy, kiedy tych szlachciców sądzić będą tylko Rusini i żydzi"... To proroctwo zacnego prezydenta zaczyna częściowo spełniać się niestety...

System szkolny w Chinach.

Powszechnie wiadomo, iż ludy chińskie osiągnęły najwyższy szczebel swej kultury już wówczas, kiedy ludy europejskie znajdowały się jeszcze w epoce barbarzyństwa — czyli innemi słowy: od lat tysięcy nie postąpili Chińczycy w kulturze swej ani kroku naprzód.

Przyczyną tego, bądź co bądź dziwnego zjawiska w dziejach rozwoju narodów, są stosunki wewnętrzne, jedyne w swoim rodzaju, oraz wiara, że każda zmiana, jakiegokolwiek rodzaju, byłaby szkodliwą dla państwa, a co gorsza, wywołałaby gniew bogów, którzy potrafili „królestwo niebieskie" utrzymać przez tak długi czas w całym jego blasku. Liczne badania etymologiczne dowiodły, że szkoły są w pierwszym rzędzie punktem wytycznym dla poznania oświaty danego narodu.

...W Chinach znajdujemy szkoły w każdem mieście, w każdej prawie wiosce. Nauczyciele szkolni rekrutują się z uczonych, którym nie powiodło się zdać wielkiego egzaminu, uprawniającego ich do objęcia jakiejkolwiek państwowej posady.

Szkoły w Chinach, to instytucye czysto prywatne; powszechnego przymusu szkolnego nie ma tam wcale. Ubogi uczony najmuje sobie mieszkanie i przyjmuje tylu uczniów, ilu mu się podoba; uczniowie nie przekraczają zwykle lat 16. Po przestąpieniu progu izby szkolnej oddają uczniowie najpierw głęboki pokłon tablicom pamiątkowym Konfucyusza i boga liter, następnie zapalają kadzidła ofiarne i po kolei kłaniają się nauczycielowi.

Po ukończeniu tych ceremonij rozpoczyna się nauka, trwająca od wschodu do zachodu słońca z małemi przerwami, w celu posilenia się. Uczniowie siadają na krzesełkach bambusowych, ustawionych przy niskich stoliczkach, na których znajduje się kawałek tuszu, pędzel do pisania, oraz tabliczka kamienna. Zrazu uczą się uczniowie wymawiania znaków pisemnych, jednakże bez zrozumienia znaczenia tychże; dopiero po wielu latach, po wyuczeniu się dostatecznej ilości tych znaczków, rozpoczyna się właściwa nauka, to jest pojmowanie ich.

Jako elementarza, a zarazem jedynej lektury używa się czterech ksiąg Konfucyusza i pięciu starych klasyków. Żmudna ta nauka trwa lat sześć co najmniej, albowiem znaki pisarskie są nader sztucznie skomplikowane, a nadto odpowiada osobny znak każdemu pojęciu z osobna, tak, iż można znać kilkaset znaków, a nie módz najłatwiejszej książki przeczytać. Jednakże każdy prawie dorosły Chińczyk zna kilkadziesiąt najbardziej utartych znaków.

Jak bardzo ceni się w Chinach znajomość sztuki pisania i czytania dowodzi fakt, że pisanie zowią Chińczycy „wstępowaniem w ślady świętych", a znaki pisarskie „oczyma mędrców". Każda pisana lub drukowana rzecz wzbudza u nich wielkie uszanowanie. Na wielu ulicach znajdują się małe skrzynki, w które wrzucają pobożni każdy świstek lub strzęp drukowanego albo zapisanego papieru, a nadto poprzybijane są po rogach ulic tabliczki z wezwaniem, by szanować wszelkie druki i pisma. Bogaci wynajmują nawet specyalnych ludzi, którzy z koszami chodzą po sklepach i magazynach i zbierają skrzętnie wszelkie skrawki i świstki papieru.

Ledwie piąty procent ludności posiada jaką taką umiejętność czytania i pisania, a to wskutek wygórowanego honoraryum nauczycielskiego. Wyższe wykształcenie, czyli kształcenie się na uczonych, odbywa się w akademiach; jednakowoż nabyta w nich wiedza nie odpowiada bynajmniej łożonym ku temu staraniom. W Chinach uczą się tylko po to, by uzyskać jakiś urząd państwowy.

Możność objęcia jakiegokolwiek urzędu zależy od całego szeregu egzaminów, odbywających się regularnie w pewnych odstępach czasu. Po każdym egzaminie nabywa kandydat nowy stopień akademicki. Jakkolwiek wielką jest liczba kandydatów, jednak liczba tych, którzy złożyli egzamin, jest nader szczupła.

W wielkiej sali egzaminacyjnej w Kantonie znajduje się około 10 tysięcy małych cel, zapełnionych w czasie egzaminu szczelnie kandydatami, z których co najwyżej dwustu lub trzystu bywa przepuszczonych, reszta zaś „pada". Wielu zdaje jeden i ten sam egzamin rok rocznie z zadziwiającą cierpliwością i wytrwałością: zdarzają się bowiem często tacy, którzy złożyć nie zdołali przez całe życie tego samego egzaminu, zdawanego rok rocznie, niekiedy zdają w tym samym dniu dziadek i ojciec i wnuk ten sam egzamin, ci zaś, którzy po kilkakrotnem niepowodzeniu nie mają żadnej nadziei złożenia kiedykolwiek egzaminu, stają się nauczycielami, pokątnymi adwokatami, pisarzami listów lub wróżbiarzami.

Komisya egzaminacyjna daje kandydatom jakiś temat do wypracowania, którego obrobienie jednak musi być ściśle stylowe, to jest autor musi naśladować i niewolniczo trzymać się tego, co od wieków za klasyczne i wzorowe uznane zostało. Autor wypracowania, oryginalnego treścią i formą, przepadłby z kretesem; musi się cytować na każdym kroku klasyków i to dosłownie — myśl każda musi się znajdować u klasyków i być wziętą z nich.

Najlepiej więc zdaje egzamin ten, który najwięcej klasycznych przykładów zacytować może. Rzecz oczywista, że przy takim systemie nie ma ani mowy o jakiemkolwiek duchowem wykształceniu. Do wszelkich zawodów odbywa się jeden i ten sam egzamin, albowiem Chińczyk sądzi, że jeśli ktoś jest tak mądrym, że umie czytać i pisać, a nadto jeszcze zna klasyków, to może bez wahania objąć jakikolwiek urząd.

Ponieważ nader trudno, ba, prawie niemożliwą rzeczą jest, zdać uczciwą drogą jakiś egzamin, zwłaszcza, że rząd pewną tylko ilość kandydatów przepuszcza, więc otworzono tu na oścież wrota przekupstwu jawnemu, z którem się nikt nawet nie tai.

Najważniejszym powodem zastoju w naukach są bezsprzecznie owe ciężkie, najniepraktyczniejsze znaki pisarskie; jeśliby je usunięto, a na ich miejsce wprowadzono nowe, zbliżone do europejskich, wówczas możnaby spodziewać się w krótkim czasie znacznego podniesienia poziomu oświaty.

Jednakże postęp i ruch w tym kierunku już się rozpoczął: mnóstwo młodzieży chińskiej uczęszcza do seminaryów, kierowanych przez obcych, lub też wyjeżdża na naukę do Europy.

Chińczycy, osiedli w Ameryce, mają już swój fonetyczny alfabet i wydają czasopisma i dzienniki, cieszące się powodzeniem nawet w samych Chinach, szczególnie zaś w nadmorskich kantonach.

Wilki.

Dr. Józef Tchórznicki, w broszurze swojej wydanej niedawno w Warszawie pod tyt. „W otchłani", a z której już zdawaliśmy relacyę w naszem piśmie, opowiada następującą historyę o „wilkach".

W jednym z zaułków ratusza — tuż przy areszcie policyjnym, nastroszonym rzędami koszów żelaznych, zasłaniających światło osadzonym tu ludziom — są wąskie schody, prowadzące na drugie piętro do biura urzędu śledczego. Kto tu nigdy nie był, sądziłby, że to także kazamata.... więzienie.... wieża.... Bynajmniej, zwykłych kilka pokojów o charakterze najzwyczajniejszego biura. Stoły zielonem suknem kryte, odwieczne krzesła, żadnych firanek, kałamarze i pióra, brak spluwaczek i miękkich mebli. Woźny, kancelista, sekretarz, adjunkt, nadzorca starszy, młodszy i nad wszystkimi szef.

Godzina 9, już ciemno, więc zapalono lampy.

— Pan doktor!... — słychać donośny głos woźnego.

— A dobrze.... proszę.... proszę.... — prowadzi adjunkt do jednej z sal. — To pana doktora fatygują tak późno.... możnaby jutro, ale rozkaz z góry, trzeba do raportu. Co kilka minut przyprowadzają nowego.... to łotry.... gałgany.... sama młodzież.... same łobuzy.... zaraz tu ich pokażą...

— A zabójca jest? — pytam zaciekawiony.

— A kto ich tam wie? to się ze śledztwa pokaże....

Siadamy przy stole.

— Przyprowadzić tam Łyczaka!... — woła nadzorca.

Wchodzi mężczyzna średniego wzrostu, ubrany chędogo, tylko na czole i uchu przepaska i bandaże, a w oczach to, co mówi przy pierwszem wejrzeniu, że tu coś z dzikiego zwierza zostało.

— Są rany? — pytam.

— Tak.... na czole i za uchem, i parę draśnięć....

Zdejmujemy opaskę i zaczynamy pisać: „Działo się.... itd"

— A jak to było?

W odpowiedzi milczenie i parę błędnych bezmyślnych spojrzeń, w których widać jasno: „Aha! będę ci gadał.... Nie ma głupich!"

— No, powiedz, jak było — dodaje szef.

— A cóż, ciął nożem raz, drugi, i tu, i tu.... prędko się zrośnie?

— A ręce całe? A ubiór we krwi? więcej nigdzie ran nie ma?

— Nigdzie, tylko tu.... prawiem głuchy.

I bystre oczy biegły wokoło, jakby oswojone z otoczeniem. Tymczasem felczer kończył opatrunek.

— On nic nie powie — dorzucił adjunkt — z nich nie wydostanie.. naprózno.

— Dawaj drugiego: Szlagstein!...

Smagły brunet, ruchy zamaszyste, śmiałe i bez ceremonii, widać bywalec; wszedł, stanął w przyzwoitej odległości, jak wymustrowany żołnierz, i milczał.

— Szlagstein!? — pyta szef.

— Ja, panie naczelniku!

— Znów wpadłeś?

— Niesłusznie, panie naczelniku. Jak Boga kocham, żebym tak zdrów był, nie wiem za co?...

— A te siniaki na twarzy?... a ta rana na skroni?...

— To jeszcze pozawczoraj... byłem pijany. Pan naczelnik wie, z Grünszwerem i Sysińskim, mogą zaświadczyć.

— To łotr skończony — zauważa szef. — Już pewnie z dziesięć razy karany...

— Co? Ja? Co też pan naczelnik mnie obmawia, dwa razy byłem pod aresztem i to niesłusznie, a że teraz na mnie kto gada, to jak sobie chce.

— No, co tam długo słuchać, pokaż rany. „Działo się...".

— A teraz dajcie tego franta Mroczka.

Blodyn, wysoki, biały, rumiany, lat 26-ciu, wchodzi z wyrazem twarzy niespokojnym, ale śmiałym, jak gdyby mówił: „Naprzód! nie pierwszyzna".

— No, mów zaraz, jak było — rzuca z góry adjunkt.

— Jak było? Pan radzca wie przecie...

— Ty mów, złapano cię z nożem i całyś pokrwawiony.

— Bo mnie uderzył Walek Zyzowaty i szyję pokaleczył, ale ja nikogo nie biłem. Piliśmy jak najlepiej...

— No, a z czego się zaczęło?

— Albo ja wiem, ja nic nie widział, tylko jak słyszę, że się kłócą, tak za czapkę i na ulicę, a tu lecą, łapią i masz.

— Więc nic nie powiesz?

— Nic nie widziałem, jako żywo. Pan radzca na mnie... ja dalibóg!...

Wyraz niezłomnej woli, by nic nie powiedzieć, zagrał na rysach, które z dobrodusznych przybrały odcień seryo. Oczy wytrzeszczył, jakby w przewidywaniu czegoś groźnego. Obejrzano rany, poczem niedbale opuścił salę... a myśmy pisali dalej...

„Działo się...".

Teraz Antoni Durzyński — prędzej, nie marudzić!

Młody chłopiec, lat 18 do 20, twarz przelękniona, szatyn z niebieskiemi oczyma, rysy miękkie, mina pokorna, kurtka szara i bujna czupryna dają mu wygląd dobrodusznego ulicznika, który zamieszał się tu niechcący. Na twarzy i czole rany.

— No, jak to było... gadaj żywo!...

— Ja nic nie winien, wielmożny panie, dziś rano po mnie przyszedł Szlagsztein i gada: bądź w szynku na Niskiej, zagramy w „pasek"...

— No i cóż?

— A cóż, poszedłem, bom się bał, jak nie pójdę, myślę sobie, to oskarżą. Byłem na czas, siedliśmy w pasek, wygrałem już trzy ruble.. Wchodzą i wchodzą — myślę sobie: co to? aż tu siadają i pić każą coraz więcej. Przyszedł i Franek, ten, co zabity, i zaraz, jak tylko wszedł, zrobił się gwałt, ale nic, siedli i piją. Aż tu naraz, jak on nie wstanie i wprost do Miszowera: Dawaj pieniądze! Słyszysz! dawaj! Co, jak... i dziewczyny się znalazły.

— To on jemu był co winien?

— A jakże, to wiadomo. Narzeczoną sprzedał mu za 50 rb. i wziął zadatku 10, a jeszcze 40 miał dostać, a ona Miszowera ani weź. „Chcesz, zabij! — woła do Franka, nie pójdę!..." i tak nie chciała. Ten ją pięścią, ona nic — ten kijem, ona nic, przy nim i przy nim. Miszower myśli: kiedy tak, to i zadatek przepadł. I tak się wadzą... Nareszcie Franek zły, jak huknie pięścią w stół... jak krzyknie: „chłopcy, kosy do góry!" Wiadomo, jego słuchać trzeba... Zaraz wyjęli noże i czekają. Tak stoją. „No, dasz, czy nie, gadaj" — krzyknął Franek. „Nie głupim! Niech do mnie idzie"... Kiedy tak, dobrze, jazda chłopcy!... I jak zaczęli... to już nie wiem... Kłuli się i kłuli, i ja widziałem tylko, że Maryensztadcy górą, a tamci w nogi...

— A ty co?

— Dostałem bez łeb kilka razy, a jakem na ulicę wypadł... tak do domu.

— A który zabił Franka?

— A bo ja wiem, ja nie widziałem. Miszower ze swymi tam poleciał...

— No, pokaż rany...

„Działo się...".

Tu wprowadzono nowego uczestnika bójki.

— Profesor! — zawołał mimowoli szef.

I przed nami stanął mężczyzna lat 40. Twarz śniada, rysy ostre; oko czarne, wąsy rzadkie, wyraz twarzy nacechowany przebiegłością i sprytem. Podszedł na kuli, gdyż nogi do kolana brak.

— A ty jak wpadłeś? — ostrożny ptaszek, a jednak?

— Szedłem sobie do domu, ani wiem za co mnie wzięli. Pan adjunkt każe uwolnić....

— Poczekaj! niech się wyjaśni.

— Co wiesz o zabójstwie?..

— Nic! ani wiedziałem, ani wiem. Dopiero w drodze powiedzieli mi, że kogoś zabili.

Ran nie było, tylko parę siniaków powierzchownych. Nie zadawano mu więcej pytań, a gdy wyszedł, szef dał wyjaśnienie.

— Profesor, to widzi pan, łotr nad łotrami, kiedyś sam kradł i, wyskakując z 3go piętra z balkonu, złamał nogę, którą odjęto. Teraz sam nie kradnie, lecz dyryguje i uczy, a za to dzieli się. Zna Warszawę, a szczególnie pewne dzielnice, jak swoją kieszeń, i kieruje każdą ważniejszą kradzieżą lub zbrodnią; ma się z tego dobrze. Pan zauważył, jaka bezczelność i pewność siebie na tej twarzy.

Dalej wprowadzano po kolei, aż do skutku, pobitych i poranionych, lecz spóźniona pora nakazywała skracać pytania, tembardziej, że nic nowego one nie dodawały i nie rozjaśniały kwestyi, znanej dobrze szefowi, adjunktowi i agentom.

* * *

Była godzina 1-sza w nocy. Zapaliwszy papierosy, rozpoczęliśmy gawędkę.

— Więc to są pobytowi złodzieje i rabusie? — rzuciłem pytanie.

— Tym razem mniej tamtych — odparł szef — a przeważnie, jak widzę, inna to kategorya. Są to tak zwane wilki. Doktór słyszał coś o tem?

— Coś, jakby przez sen.

— Każdy z nich ma dwie, trzy lub cztery kochanki, nazywane zwykle narzeczonemi; z hańby ich żyje. Gdy mrok nastaje, wypełzają one ze swych nor na ulice miasta i wabią amatorów przygodnych romansów. Niejeden nie domyślając się o co idzie, zaczepia taką ćmę, i za nią, powoli, coraz dalej zagłębia się w ciemne zaułki... sadzi się na dowcipy... Ta przyjmuje zaloty, niby od niechcenia... i nie odpycha, lecz zręcznie wabi. Amator tego rodzaju sportu ani się domyśla, że opodal o kilka kroków wilk pilnie śledzi każdy ruch jego i widzi, jak „narzeczona" wprowadza ofiarę do swego mieszkania. Naturalnie drzwi na klucz zamyka i ginie w drugim pokoju. Panicz uszczęśliwiony, odurzony tajemniczością zdarzenia, zasiada w półciemnym pokoju i oczekuje wyjścia bohdanki. Marzy więc o zadowoleniu pragnień, o nowych wrażeniach, gdy naraz z za kotary zjawia się dwóch drabów... o bezczelnych, rozpitych twarzach, i podszedłszy spokojnie do zdumionego gościa, proszą go siedzieć, zapalić papierosa, rozpytują o cel przybycia...

Zmieszany, zawstydzony Don Juan widzi, że niema rady. Wyjmuje z żalem portmonetkę itd. Klnie w duszy nieszczęśliwą godzinę i wychodzi goły, jak święty turecki.

Czasami wspaniałomyślni rabusie dają mu parę rubli na drogę.

Na ulicy budzi się uczucie reakcyi: „Jakto?" tak się dać złapać?... Do policyi!... czemprędzej!..." Lecz skandal... kompromitacya... protokół... sąd... znajomi...

— Więc to takie sfery?...

— A właśnie, to oni!...

— Więc tacy do zwykłych złodziejstw, kradzieży i zabójstw nie należą?

— Jedno za drugiem idzie.

— A cóż tu jeden mówił, że Maryensztadzcy górą? - spytałem.

— A bo to widzi pan — ciągnął szef. — Złodzieje i rabusie dzielą się na partye, mają swoich dowódców i znane są partye: Maryensztadzka, Powązkowska, Wolska, Jerozolimska, Mokotowska, Radzymińska — przeważnie jak operują, podług rogatek. Mają swój umówiony język, swoje prawa zwyczajowe i swoją juryzdykcyę, opartą na prawie zemsty.

— I to tak dawno?

— Naturalnie... wielkie miasto! Każda, niestety ze stolic europejskich, Paryż, Londyn, Wiedeń, posiada takie same kompanie, a my specyalnie, gdyż dużo jest pobytowców i robotników bez pracy. Tu więc rekrutują się nowi. Starzy ustępują, lub wysyłają ich do katorgi.

— A cóż wydział śledczy? powinien uprzedzać takie fakty, ostrzegać kogo należy.

— Ależ to codzień z tem praca. Co się jednych weźmie, to nowi wstępują w szeregi, lub tamci powracają z więzień. Ciągła robota.

KRONIKA.

Lwów 23 sierpnia.

Sejmik relacyjny. Otrzymujemy następujące pismo:

Zapraszam pp. wyborców z kuryi wielkiej własności okręgu złoczowskiego do Złoczowa w dniu 1 września br. o godz. 2 po południu (sala rady powiatowej) celem wysłuchania mego sprawozdania poselskiego i omówienia politycznego położenia.

Władysław Gniewosz.

Bardzo nieprzyjemną rzecz ogłasza Magistrat lwowski, a mianowicie, że ze względów militarnych ograniczoną być ma swoboda wznoszenia nowych budowli na znacznej części terytoryum miasta Lwowa. Oto czytamy we wspomnianem obwieszczeniu, że na żądanie ministerstwa obrony krajowej wymierzył Magistrat wspólnie z komendą korpusu cztery rejony ochronne w obrębie Lwowa dla czterech ochronnych szańców ziemnych. Rejony te zachodzą w znacznej części na terytorya przyległych gmin wiejskich i oznaczone są na odnośnych gruntach wkopanymi w ziemię słupami kamiennymi z wyrytym na nich numerem porządkowym słupa i literami: „B. V. R." Litery te są początkowemi literami słów „Bau Verbots - Rayon" co po polsku znaczy: „Obręb, w którym zakazanem jest stawianie budowli". W tych rejonach ochronnych ograniczoną jest wolność wznoszenia nowych budowli, stawiania dobudowek i przebudowywania istniejących domów. Takie roboty budowlane w tych rejonach mogą być uskuteczniane tylko za specyalnem dla każdego wypadku z osobna zezwoleniem władzy wojskowej i za wystawieniem rewersu demolacyjnego.

Pierwszy z rejonów wytyczony jest w dzielnicy II. i zajmuje Bogdanówkę i Lewandówkę. Drugi rejon również w dzielnicy II. zajmuje część gruntów za rogatką Janowską po lewej stronie gościńca. Trzeci rejon w dzielnicy IV. zajmuje część ulic Paulinów, Krupiarskiej, lasek Lonszanówki i grunta położone na północ od górnej części ulicy Łyczakowskiej. Czwarty rejon w dzielnicy IV. i I. zajmuje znaczną część drogi Sichowskiej, całe Pasieki Halickie, część Pasiek Łyczakowskich, Majerówkę, Snopków, Pohulankę, Cetnerówkę i Jałowiec.

Śluby. We czwartek 28 bm. odbędzie się w kościele parafialnym w Podbużu ślub panny Heleny Pańkowskiej, córki śp. Kazimierza, profesora Akademii rolniczej w Dublanach, i Honoraty z Komarnickich, właścicieli Mokrzan w Samborskiem, z p. Juliuszem Maciołowskim.

Dnia 20 bm. w południe odbył się w Poznaniu w kościele podominikańskim ślub hrabianki Józefy Czarneckiej, córki Stanisława i Anny z Mielżyńskich, z p. Tadeuszem Starzyńskim, marszałkiem Rady powiatowej żółkiewskiej i szambelanem. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele rodzin: Potockich, Mielżyńskich, Bnińskich, Czarneckich, Morstinów, Żółtowskich, Dąbrowskich, Potworowskich, Ponińskich, Jordanów, Cieleckich i wielu innych. Ojciec św. nadesłał młodej parze swe błogosławieństwo. Ze wszystkich okolic Polski nadeszło mnóstwo telegramów z życzeniami, a mianowicie od Badenich, Gołuchowskich, Tarnowskich, Zaleskich, ks. Orleańskich, Romerów, O. Mycielskiego, X. Gnatowskiego, Federowicza, Tchórznickich, Stadnickich, Skrzyńskich, Ostaszewskich, Komorowskich, Szeptyckich, Potockich, Czosnowskich, Puzynów, Niezabitowskich, Michałowskich, Czartoryskich, Moszczeńskich, patrona Jackowskiego, Kwileckich, Bogdana Czapskiego, Czorbów, Stablewskich, Grodzickich, Potulickich, namiestnika Pinińskiego i mnóstwa innych. Podczas mszy św., odprawionej przez X. radzcę Mojzykiewicza w asystencyi X. Zimmermana, chór dominikański wykonał szereg pieśni kościelnych.

Statystyka strejku rolnego. *Diło* podaje prowizoryczną statystykę ruchu strejkowego, ułożoną na podstawie dotychczasowych swoich informacyi. Owóż po imieniu wyliczyło *Diło* 421 wsi, które zastrejkowały, a 24 powiatów. Rzeczywista liczba wsi, które wzięły udział w strejkach, jest jednak daleko większa, często bowiem informacye były ogólnikowe, n. p. „Strejkuje miasteczko N. i okoliczne wsie" itp. Według powiatów strejkowało z owych 421 wsi: w powiecie zaleszczyckim 53, zbarazkim 34, kamioneckim 33, tarnopolskim 31, buczackim 30, przemyślańskim 29, brzeżańskim 28, husiatyńskim 28, złoczowskim 24, trembowelskim 24, skałackim 22, czortkowskim 22, lwowskim 14, podhajeckim 10, bobreckim 10, gródeckim 9, borszczowskim 5, brodzkim 5, horodeńskim 4, rohatyńskim 3, kołomyjskim 2, bohorodczańskim, tłumackim i rudeckim po 1.

Wierzyciele śp. Seweryna br. Brunickiego i młyna parowego „Marya Helena", którego połowa należała do zmarłego, a druga połowa należy do pp. Edwarda Marynowskiego i Roberta Kleina, odbyli wczoraj zgromadzenie celem naradzenia się nad tem, jakie ulgi możnaby przyznać zagrożonej przez samobójstwo śp. Brunickiego firmie młynarskiej „Marya Helena", by zapobiedz otwarciu konkursu. W zgromadzeniu wczorajszem wzięli udział reprezentanci Banku krajowego, Banku hipotecznego, krakowskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu, austryackiego Zakładu dla handlu i przemysłu, firm Sokal i Lilien, A. Herman, Rafał Parnes i kilka jeszcze innych firm. Postanowiono w zasadzie opuścić zachwianej firmie 50 procent i przyznać trzymiesięczne moratoryum, ale pod warunkiem, że także i reszta wierzycieli na to się zgodzi. W tym celu zwołano na poniedziałek ponowne zgromadzenie wierzycieli. Podobno Towarzystwo wzajemnego kredytu w Krakowie poniesie znaczne straty, gdyż pretensya jego należy do największych. Również i Bank hipoteczny zaangażowany jest na bardzo wielką sumę. Ze smutkiem musimy wyrazić zdziwienie, że instytucye te pożyczały znaczne kwoty człowiekowi, który mniej więcej od lat piętnastu znanym był w całym kraju jako finansowo zachwiany.

Wpisy uczenic do szkoły szycia białego i haftu w stowarzyszeniu „Pracy kobiet" trwać będą od 26 sierpnia do 15 września, zaś nauka rozpoczyna się z dniem 1 września. Bliższych informacyj udziela biuro stowarzyszenia przy ul. Wałowej l. 25 II p., które jest otwarte od godziny 9—12 zrana i od 2—5 po południu.

Do Szczawnicy przybyło w czasie od 9 do 16 sierpnia br. rodzin 131 osób 183.

Nowa opera Mascagni'ego. Z Rzymu donoszą, że autor „Cavallerii Rusticany", (której tytuł, nawiasem mówiąc, należało przetłómaczyć nie „Rycerskość wieśniacza", ale „Honor chłopski"), Mascagni, napisał nową operę 5-aktową pod tytułem „La Città Eterna". Libretto do tej opery utworzone zostało ze znanej angielskiej powieści Hall Caine'a pt. „The eternal City". Opera ma być wystawiona jeszcze tej jesieni w Londynie i w Nowym Jorku.

Z Rymanowa nam piszą: Obchód rocznicy Grunwaldu w Rymanowie odbył się w połączeniu z podniosłą uroczystością koronacyi cudownego obrazu Bogarodzicy. Na uroczystość przybył z Przemyśla X. biskup Pelczar; powitali go na dworcu kolei Rymanów-miasto liczni przedstawiciele inteligencyi miejscowej i okolicznej, gości kąpielowych i ludności wiejskiej i miejskiej. Imieniem zgromadzonych powitał dostojnego gościa podniosłemi słowy Jan hr. Potocki, właściciel Rymanowa. Po licznych okrzykach na cześć dostojnego pasterza, ruszyły powozy ku miastu, w otoczeniu banderyi konnej, złożonej z włościan rymanowskich z Janem hr. Potockim na czele, w bogaty strój polski przybranym. Gdy powóz X. biskupa w otoczeniu dostojników świeckich i duchownych, korporacyi rzemieślniczych, młodzieży i kolonii szkolnych, niezliczonych powozów i kilkutysięcznego tłumu ludności pieszej wjechał przez pięknie udekorowaną tryumfalną bramę do miasta, dano 101 salw moździerzowych. Udano się następnie do kościoła, gdzie po odprawieniu potyfikalnej sumy, nastąpiło ukoronowanie obrazu Najświętszej Panny. Obraz ten pochodzi z Częstochowy i został swego czasu przywieziony przez Jana Sobieskiego jako votum. W czasie bowiem pochodu Jana III na Turków zdarzyło się, gdy kroczył z wojskiem przez Rymanów, że popręgi na koniu króla i na koniach wojowników popękały. Pochód się wstrzymał, zawołano szewców i ci w krótkim czasie doprowadzili tak wszystko do właściwego stanu, że wojsko mogło ruszyć dalej. Jan III wywdzięczając się za tak szybką i umiejętną pomoc, nadał szewcom rymanowskim przywilej, na mocy którego szewcy postępować mieli z cechową chorągwią przed wszystkiemi innemi korporacyami w czasie uroczystości kościelnych i patryotycznych, i uczynił votum przywiezienia obrazu Najświętszej Panny z Częstochowy do rymanowskiego kościoła, którego to votum, po powrocie z zwycięskiej wyprawy dopełnił.

Przywilej, nadany szewcom rymanowskim, do dzisiaj bywa ściśle obserwowany. Przy obecnej uroczystości cech szewski, złożony z licznych przedstawicieli, z bogatą chorągwią, kroczył również na czele kilkutysięcznego tłumu. Po dopełnieniu aktu koronacyjnego podejmował właściciel Rymanowa, Jan hr. Potocki, wszystkich uczestników tego podniosłego obchodu, tak inteligencyę miejscową i okoliczną, jak i włościan, z niezwykłą na obecne czasy, prawdziwie staropolską gościnnością, w czem dopomagała mu znana ze swej uprzejmości, czcigodna matka jego, Anna hr. Potocka.

Około godziny trzeciej udano się do Rymanowa-zdroju, gdzie po poświęceniu zdrojowiska, odbył się wieczorem w salach zdrojowego domu wspaniały raut, który zaszczycił swą obecnością X. biskup Pelczar. Zgromadzonych powitał podniosłą patryotyczną przemową Jan hr. Potocki, na którą odpowiedział wzniosłemi, pełnemi patryotyzmu słowy dostojny Pasterz, poczem udzielił wszystkim zgromadzonym swego błogosławieństwa. — Uprzejmość X. biskupa, z jaką rozmawiał z obecnymi, ujęła wszystkich głęboko. Rzęsista iluminacya

całego zakładu zakończyła tę wspaniałą uroczystość obchodu rocznicy Grunwaldzkiej i koronacyi Królewej Korony Polskiej.

Zapisy szkolne w szkole wydziałowej pp. Benedyktynek fac. we Lwowie odbywać się będą w dniach: 26, 27, 28, 29 i 30 sierpnia od godziny 8-ej rano do 12 w południe.

Samobójstwo. W Rzeszowie odebrał sobie życie wystrzałem z karabinu porucznik obrony krajowej, Józef Hudeczek. Samobójca osierocił młodą żonę i dziecię. Powód samobójstwa dotychczas nieznany. Prawdopodobnie wyjaśnią go listy, jakie Hudeczek pozostawił do żony i do swego pułkownika.

Zwycięstwo polskiego malarza. P. Czesław Jankowski, artysta-malarz, otrzymał na międzynarodowej wystawie w Marsylii wielką nagrodę, *„Grand prix"*, za obraz olejny, przedstawiający „Robotnika przy pracy", oraz za 3 mniejsze obrazki. P. Jankowski zwyciężył 700 współubiegających się, przeważnie Francuzów.

Gimnazyum żeńskie założone staraniem „Towarzystwa prywatnego gimnazyum żeńskiego we Lwowie" wchodzi w życie z bieżącym rokiem szkolnym. Egzamina wstępne do klasy I odbywać się będą przez dwa dni: 5-go i 6 go września — wpisy przyjmowane będą w tych samych dniach od godziny 10 do 1 w kancelaryi gimnazyalnej przy ulicy Chorążczyzny l. 19. I piętro. Gimnazyum posiada wspaniały, duży, jasny, centralnie ogrzewany lokal, który odpowiada wszystkim nowoczesnym warunkom zdrowotnym, jakie powinny być przestrzegane w zakładzie naukowym.

Z izby sądowej. Rozprawa przeciwko 48 oskarżonym o rozruchy uliczne we Lwowie z dnia 2-go czerwca br. skończy się dziś. Wczoraj wygłosili swe przemowy: zastępca prokuratora p. Lebański, a potem obrońcy drowie Schleicher, [illegible]ski, Czeszer i Gabel. Dziś całe rano trybunał zastanawiał się nad wyrokiem, którego ogłoszenie nastąpi o godz. 4-ej popołudniu.

Teatr krakowski. Krakowski *Głos Narodu* opisuje rozmowę jednego ze swych współpracowników z p. Kotarbińskim, dyrektorem teatru krakowskiego. Rozmowa toczyła się o planach p. Kotarbińskiego na najbliższy sezon. Z czasu wakacyi skorzystał p. Kotarbiński w ten sposób, że objeżdżał wielkie teatry zagraniczne celem zapoznania się z ich stanem. Nawiasem powiedziawszy, stwierdził on z dumą, że artyści polscy stoją na o wiele wyższym szczeblu gry scenicznej, niż niemieccy,a także, że bogate teatry niemieckie nie przewyższają naszych pod względem wystawy i dekoracyi. W podróży swej wszedł p. Kotarbiński z angielskimi teatrami w ścisłe stosunki; każdą wybitną nowość angielską będzie otrzymywał. Z repertoaru francuskiego ujrzy Kraków „Szczęście" Capus'a, „Nowe bożyszcze" Curel'a, „Pochód z pochodniami" Hervieu'go, z belgijskiego „Monnę Vannę" Maeterlincka. Sztuk autorów niemieckich wystawi teatr krakowski nie wiele: „Michała Kramera" Hauptmanna w przekładzie Sierosławskiego, „Agnes Jordan" Hirschfelda, cykl jednoaktówek Schnitzlera, „Sieroty bliźniacze" Fuldy w tłómaczeniu panny Wójcickiej, wreszcie „Mistrza z Palmiry" Wilbrandta w przekładzie Konopnickiej. Z literatury skandynawskiej przygotowuje p. Kotarbiński „Ponad nasze siły" Björnsona w przekładzie Kasprowicza, oraz trzy utwory Ibsena: „Rosmersholm", „John Gabryel Borkman" i „Pretendenci do korony". Co do literatur romańskich, to oprócz francuskich sztuk, o czem wyżej, wystawioną zostanie sztuka Echegaraya, dramaturga hiszpańskiego, pt. „Obłęd czy świętość". Z repertoaru rosyjskiego ujrzą Krakowianie „Owoce oświaty" Tołstoja i „Mieszczan" Gorkija. Bardzo obficie przedstawia się zapowiedziany repertoar nowości polskich. Oto one: „Dramat Kaliny" Kaweckiego, „Nurty" Jellenty, „Matka" Przybyszewskiego, „Luminarze" Kozłowskiego, „Demokraci" Dorowskiego, „Piękna" Okońskiego. Dalej ma zamiar p. Kotarbiński wystawić „Nieboską komedyę" Krasińskiego, a może też „Legion" i „Protesilaosa" Wyspiańskiego, tudzież „Cyklopa" Eurypidesa w przekładzie Kasprowicza. Ze wznowień wyliczył p. Kotarbiński następujące utwory: „Balladyna" Słowackiego, „Wilhelm Tell" Schillera, „Romeo i Julia", „Henryk IV", „Król Lear" Shakespeare'a, „Świętoszek" Molière'a. Ponadto wystawi p. Kotarbiński „Ulissesa" Phillipsa, autora angielskiego, i „Manfreda" Byrona. Tak mniej więcej przedstawia się repertoar rozpoczynającego się sezonu.

Do personalu zaangażowała dyrekcya 14 nowych sił, a między niemi panie Arkawinównę i Pawłowską i pana Szczurkiewicza. Od samego początku odbywać się będą gościnne występy, do których zaangażowano pannę Rotterównę z Warszawy, Frenkla i innych. W zimie może wystąpi pani Modrzejewska.

Elektryczna kolej lokalna. Ministerstwo kolei żelaznych przedłużyło na jeden rok udzielone reskryptem z dnia 26 lipca 1901 inżynierowi budownictwa Adamowi Idzikowskiemu w Krakowie zezwolenie na przedsięwzięcie technicznych prac przedwstępnych celem wybudowania wąskotorowej kolei pędzonej siłą elektryczną ze stacyi Podgórze-Płaszów wzdłuż gościńca rządowego i drogi gminnej aż do stacyi Podgórze Bonarka.

Kupno olbrzymich dóbr w Bessarabii. Pan Kazimierz Brzozowski z Sokołówki w guberni podolskiej nabył ogromne, z górą 20 tysięcy morgów obejmujące dobra, należące dotychczas do Towarzystwa przemysłowego zarożeńskiego. Dobra te położone są w Bessarabii, w pobliżu granicy austryackiej, w powiecie chocimskim, i składają się z następujących odrębnych majątków: Doliniany, Stawczany, Zarożeny, Kersteńce, Dołżek, Kruhlany, Synżery, Rukszyn i Lewinice. Do majątku należy ogromna cukrownia, młyn parowy, kilka gorzelni i z górą 6 tysięcy morgów lasu sosnowego. Za dobra te nowonabywca zapłacił 4,600.000 rubli.

Z Krakowa nam piszą: W teatrze Rozmaitości, goszczącym w parku krakowskim, rozpoczął występy polski humorysta, p. Ludwikowski. Monologi jego wywołują wśród publiczności wybuchy szczerego śmiechu i burzę oklasków. Przed przyjazdem swym do Krakowa występował p. Ludwikowski w Warszawie i Łodzi, gdzie cieszył się wielkiem powodzeniem. Jest to pierwszy komik polski na scenach teatrów Rozmaitości, w których aż do znudzenia widzieliśmy tylko Niemców.

Lola Montez. Prof. A. Fournier ogłosił w jednym z ostatnich zeszytów *Deutsche Revue* nader zajmujący raport, który tajny ajent policyjny złożył w swoim czasie rządowi austryackiemu o wypadkach 1847 roku w Bawaryi. W raporcie tym mieszczą się bardzo interesujące szczegóły o Loli Montez i jej stosunku do króla Ludwika I.

Lola Montez, niebieskooka piękność o kruczych włosach! Tak piękna, że gdy raz, ujrzawszy ją w teatrze, 15-letni hr. Egmont pytał matki: Kto jest ta śliczna kobieta? Matka mu odrzekła: — To bardzo zła istota!

Młode pacholę odpowiedziało wtedy naiwnie
— Mamo, ona jest zbyt piękna, żeby mogła być złą!

Czy Lola Montez była istotnie zła? To fakt, że była powszechnie niecierpiana. W 1847 r. przybyła do Warszawy, zaangażowana na występy w balecie. Zachowywała się tak niesfornie, że niebawem została odstawiona do granicy. W Monachium lud jej nienawidził. Ona, zdobywszy miłość króla, lubowała się w drażnieniu ulicznego motłochu. Cierpliwi zazwyczaj Bawarczycy tym razem utracili cierpliwość. Przed oknami urodziwej tancerki codzień prawie odbywały się wrogie manifestacye. Kiedy ją pytano, kogo najczęściej widuje, Lola Montez odrzekła:

— *La canaille et le roi!* (Motłoch uliczny i króla).

Gwałtowna i brutalna w gniewie, potrafiła smagać szpicrutą służbę i dostawców. Jak paw roztacza swój wachlarz błyskotliwy, tak ona szczyciła się swym stosunkiem z królem. Wchodziła do sklepów i kazała sobie odsyłać kosztowne przedmioty.

— Wiecie, kto jestem, — mówiła — mój Ludwik za mnie zapłaci.

A dumny Wittelsbach, wobec niej pozbawiony wszelkiej dumy, nietylko płacił rachunki, lecz jeszcze obsypywał piękną cudzoziemkę podarunkami. Przy ulicy Baren wybudował dla niej pałacyk. Montez przybyła obejrzeć malowidła, zdobiące sufit salonu. Nie podobały się jej. Prosi króla, który jej towarzyszył, by kazał dać inne. Ludwik I odmówił. Wówczas Lola Montez woła ze złością do architekta:

— Niech pan nie zwraca uwagi na tego skąpca! Ja z własnej kieszeni zapłacę za nowy plafon.

Króla tak ubawiła ta bezceremonialność, że zamówił natychmiast inną dekoracyę.

Monachijczycy burzyli się coraz silniej. W szkołach nauczyciele nakazywali dziatwie modlitwy na intencyę, aby król wygnał precz „swą metresę". Aż wreszcie nastąpiła mała rewolucya. Lola Montez musiała uciekać przed rozgniewanym tłumem, który otoczył jej pałac. Wcisnęła się pod ławeczkę karety, woźnica zaciął ostro konie, ciżba rozstąpiła się...

Wróciła do Monachium w kilka lat później, ale na krótko. Natura awanturnicza pchała ją wciąż dalej. W 1861 roku dawna kochanka królewska „favorita del rè!" — skończyła pełen przygód żywot w Nowym Jorku. Miała 41 lat. Czasy przepychu i zbytku minęły. Zmarła w nędzy.

Z powiatu żółkiewskiego nam piszą: Wielce doniosła kwestya, będąca niezaprzeczenie bardzo ważną ze względów sanitarnych dla całego społeczeństwa, weszła nakoniec w życie, a to sprzedawanie soli w topkach w opakowaniu, a nie jak dawniej było bez opakowania, w topkach budzących wstręt i odrazę u wszystkich konsumentów. Wprowadzenie w czyn tego projektu, kiełkującego od dawna w Wydziale krajowym, bez kwestyi jest zasługą jednego z członków żółkiewskiego wydziału pow. dr. Maciulskiego, któremu za energiczne, połączone z niejedną trudnością przeprowadzenie tej myśli do celu, należy się niezaprzeczenie rzeczywista wdzięczność i uznanie. Nie wiem, czy który z powiatów przyjął tę reformę tak życzliwie, jak nasz powiat, który, składając się z większych i mniejszych odbiorców, oraz konsumentów najrozmaitszego stanu i zawodu, powitał tę reformę z niekłamanem zadowoleniem, raz z powodu czystości soli, która obecnie już nic do życzenia nie pozostawia, a następnie i z powodu zawsze właściwej wagi i braku ubytku soli, tak zwykłego w czasach, gdy sprzedawaną była bez opakowania; tem więcej, że „zastępstwo krajowej sprzedaży soli w Żółkwi", nie oglądając się na koszta, jakie na razie ta reforma sprowadzić musiała, wywiązuje się ze swego zadania nader sumiennie i fachowo, ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich odbiorców i konsumentów naszego powiatu.

Na dworze saskim było w zwyczaju od r. 1712 do 1737 przybywających na dwór gości ważyć na wielkiej wadze w cekhauzie i zapisywać wagę do książki. Dotychczas istnieją dokumenty, z których okazuje się, że podkanclerz Lipski ważył przed obiadem 273, a po obiedzie 278 funtów; podskarbi Poniatowski przed obiadem 207, po obiedzie 212 funtów; hrabina Orzelska w 1725 roku 132. a w trzy lata później 129 funtów; hrabina Fleming 128 funtów itd. August II, licząc lat 42, ważył 260 funtów.

Nowe wyroby papierowe. W Ameryce zaczęto wyrabiać wory na mąkę z masy papierowej; nie są to worki małe, używane po sklepach, ale duże, do użytku w młynach. Nie przepuszczają one na zewnątrz mąki, a na wewnątrz wilgoci, odorów i poczwarek owadów, są więc lepsze niż wory tkane z bawełny. Z masy papierowej wyrabiają również rury izolacyjne, używane przy instalacyach elektrycznych.

Nowe farby. Słynny malarz francuski, Rafaeli, wynalazł sposób przyrządzania nowych farb olejnych w formie ołówków, któremi można malować na płótnie, papierze, drzewie i kości słoniowej. Farby te schną szybko i są daleko trwalsze, niż dotychczasowe. Próby, wobec znawców, dały znakomite rezultaty, a znany kolorysta, Besnard, twierdzi, że wynalazek tych nowych farb, stanowi przewrót w malarstwie, usuwając paletę, pendzel, noże i t. p. przyrządy malarskie.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 10. w poł. + 12 R. Bar. 771. Podnosi się. Pochmurno.

Podsłuchane.
— Czy pani istotnie nie ma przyjaciółek?
— Owszem, mam jedną, ale jej tak nienawidzę, aż strach!

Koniec świata.
Pytano Nasr-Eddina:
— Kiedy będzie koniec świata?
— O jakim końcu świata mówicie; o dużym, czy o małym?
— Czy jest kilka końców świata?
— Jak ja umrę, będzie duży koniec świata, a jak moja żona umrze, będzie mały koniec świata.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w sobotę po raz 8my „Weronika" operetka w 3 aktach A. Messagera. — Jutro w niedzielę „Wesoła dwójka" operetka w 3 aktach Krenna i Lindaua, muzyka K. Ziehrera. — W poniedziałek po raz 6ty „Simpliciusz" operetka w 3 aktach J. Straussa. — We wtorek „San Toy" operetka w 3 aktach Sidney Jonesa. — We środę „Jabuka" operetka w 3 aktach Jana Straussa. — We czwartek „Piękna z Nowego Jorku" operetka w 3 aktach (5 odsł.) G. Kerkera. — W piątek „Fatinica" operetka w 3 aktach Souppe'go.

Przygotowuje się wystawienie nowej operetki Herve'go „Wdowa z Malabaru" (z nową wystawą) i „Świat na opak" fantastyczna krotochwila w 3 aktach z muzyką Karola Kapellera.

Ciągnienie losów c. k. Loteryi Policyjnej we Wiedniu odbędzie się nieodwołalnie 4 października b. r. Na 1500 wygranych znajdują się 3 główne wygrane po K. 25.000, 5.000 i 1.000. Powyższe losy są do nabycia we wszystkich kantorach wymiany, c. k. trafikach i loteryach, jakoteż w biurze samej loteryi we Wiedniu I Singerstrasse 2.

Głosy publiczności.

Podziękowanie. Komitet odbudowy kościoła św. Trójcy w Okopach ma sobie za obowiązek podziękować paniom i panom za zajęcie się festynem dnia 10 bm. w lesie Dąbrowa, z którego to czysty dochód w kwocie 150 K. na powyższy cel komitetowi wręczonym został. Także serdeczne dzięki składa ekscelencyi hrabiemu Stanisławowi Tarnowskiemu za przysłanych komitetowi 200 koron, jak również hrabiemu Antoniemu Russockiemu za 10 koron i pani A. Łuckiej z Jaremcza za 2 kor. Bóg zapłać.

Mielnica 21 sierpnia 1902.

Przewodniczący komitetu: *Borkowski.*
X. W. Mroczyński, proboszcz.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 sierpnia.

(Z). Pod wpływem silnych notowań na giełdzie berlińskiej poprawiła się tendencya także na naszym targu. Zwłaszcza w Statsbahnach i alpinach nastał w pierwszem stadyum obrotów dosyć ożywiony ruch spekulacyjny, a chociaż nie utrzymał się on aż do końca, mimo to ostateczne notowania kursu tych walorów są o parę koron wyższe od wczorajszych. Natomiast walory naftowe miały dziś zły dzień, akcye Schodnickie spadły o 23 korony, Towarzystwa karpackiego o 8 koron. Ożywienie się ruchu na giełdzie berlińskiej miało swe źródło w doniesieniach o doskonałym stanie zasiewów w Prusiech, tudzież w podniesieniu się kursu glasgowskich warrantów żelaznych, które oddziałało ożywczo na cały targ walorów żelaznych.

W dniach 19 i 20 września br. odbędzie się w Frankfurcie nad Menem pierwszy niemiecki wiec bankierski, który budzi w sferach finansowych ogromne zainteresowanie Program jego obejmuje tak ważne punkty, jak: rewizyę ustawy giełdowej, opodatkowanie obrotów na giełdzie, ekonomiczne stanowisko i zadania stanu bankierskiego itp. Znaczenie wiecu podnosi ta okoliczność, że wezmą w nim udział także reprezentanci władz państwowych, Izb handlowych i innych poważnych korporacyj.

Od pewnego czasu podnoszą się ceny spirytusu zarówno kontyngentowanego jak i nadkontyngentu. Jedną z głównych przyczyn tego są doniesienia o niezbyt świetnych widokach na tegoroczny zbiór kartofli. Zwłaszcza w Niemczech są podobno oznaki rozpoczynającego się gnicia kartofli.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 682·50, węg. Zakł. kredyt. 728·00. Anglobanku 275·90, Unionbanku 539·00, Länderbanku 418·00, Bankvereinu 454·50, Bodencredit 928·00, Gal. Banku hip. 540·00, Statsbahny 718·00, Lombardy 68·00, Kol. Elbethal 466·00, Północnej 5700, Czerniowieckiej 567·00, Alpiny 398·00, Rima Muranyi 502·00, Praskiego Tow. żel. 1517, Fabryki broni 330·00, Tureckie tytoniow. 307·00, Oblig. węg. indemniz. 97·60, Renta majowa 101·70, Austr. renta koronowa 100·10, Węgier. renta koronowa 97·90, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·40, 4% Listy Banku krajow. 97·00, 4½% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, 4½% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·25, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·25, 4% Poż. m. Lwowa 94·10, Losy tureckie 111·25, Marki 117·10, Ruble 253.00.

Sprawozdanie targowe Lwowskiej izby kupieckiej. Lwów, 22go sierpnia. (Ceny w walucie koronowej za 50 kg. netto loco (paritas) Lwów bez akcyzy).

Pszenica prima 7·10 do 7·20, średnia 0·00 do 0·00, żyto prima 5·80 do 6·00, średnie —·— do —·—, jęczmień browarny 5·75 do 6·00, pastewny —·— do —·—, owies pański 5·90 do 6·00, chłopski —·— do —·—, kukurydza prima 4·90 do 5·10, średnia 0·00 do 0·00, rzepak zimowy nowy 10·00 do 10·25, len —.— do —·—, siemie lniane 9·75 do 10·00, siemię konopne 8·— do 8·25 koniczyna czerw. prima 48·— do 50·—, średnia —·— do —·—, koniczyna biała prima 75·— do 80·—, średnia —·— do —·— szwedzka 00·— do 00·— tymotka —·— do —·—, anyż okrągły 00·00 do 00·00 płaski 00·00 do 00·00, groch do gotowania 8·— do 8·25, zielony 7·— do 7·25, pastewny 5·50 do 6·00 bobik koński 4·75 do 5·00, wyka 5·00 do 5·25 otręby pszenne 3·50 do 3·75, żytne 4·00 do 4·10, chmiel —·— do —·—

Spirytus surowy bez podatku loco stacye: Husiatyn-Stanisławów kontyngent 33·25 do 33·50, nadkontyngent 15·75 do 15·90; Tarnopol-Brody kontyngent 33·75 do 34·00, nadkontyngent 16·10 do 16·40; Sokal-Jarosław kontyngent 34·50 do 34·75, nadkontyngent 16·35 do 16·60; Rafinerye Lwów kontyngent 36·— do 36·25, nadkontyngent 17·50 do 17·75.

Cena bez wszelkich kosztów za 10.000 litr procent.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze dzisiejsze poranne).

Wiedeń 23 sierpnia. Do *Wiener Mittags-Ztg.* donoszą z Petersburga, że manewry w okręgu petersburskim skończyły się wielką katastrofą. Mianowicie szwadron kawaleryi, pędząc do ataku, wpadł do rzeki, przyczem 50 żołnierzy utonęło wraz z 40 końmi. Bliższych szczegółów — pisze *W. M. Ztg.* — trudno się dowiedzieć, ponieważ starają się całą sprawę utrzymać w tajemnicy.

Petersburg 23 sierpnia. Od chwili pojawienia się dżumy w Odessie było ogółem 9 wypadków zasłabnięcia, z tego jeden wypadek śmiertelny. Chorzy po części wyzdrowieli, częścią znajdują się w miejskim szpitalu.

Według urzędowych doniesień cholera w okręgu Amur i Awantung zmniejsza się, wzmaga się zaś w Chabarowsku.

Wiedeń 23 sierpnia. Według najnowszych dyspozycyj, wraz z Cesarzem uda się na manewry morskie pod Polą arcyksiążę Franciszek Ferdynand. Monarcha przybędzie z osobami orszaku, w którym znajdować się będzie także szef sztabu jeneralnego br. Beck, dnia 1 września z Tryestu do Poli na pokładzie parowca „Miramar".

Berlin 23 sierpnia. W tutejszych kołach dworskich zapewniają, iż wskutek nadzwyczaj serdecznego zaproszenia ze strony króla Edwarda, cesarz Wilhelm wkrótce po manewrach pod Poznaniem uda się do Anglii.

Konstantynopol 23 sierpnia. Bułgarski agent dyplomatyczny zażądał od Porty wypuszczenia na wolność kilkuset uwięzionych w Salonice, Monasterze i Skoplii Bułgarów, których aresztowano jako podejrzanych o należenie do komitetu macedońskiego. Reklamacya ta nastąpiła pod naciskiem wzmagającego się w Bułgaryi wzburzenia.

Nantes 23 sierpnia. Komendant batalionu de la Laube, którego przydzielono do 11 sztabu generalnego korpusu, podziękował za to stanowisko, ponieważ nie chciał pracować razem z tymi, którzy skazali pułkownika San Remi i komendanta Le Roi Ladurie.

Chalons sur Marne 23 sierpnia. Minister sprawiedliwości Vallé przemawiał wczoraj w tutejszym klubie republikańskim i zaznaczył, że gabinet trwa w zamiarze energicznego przeprowadzenia ustawy kongregacyjnej. Rząd spełni zadanie swe, nie przebierając miary, ale też nie okazując słabości.

(Depesze popołudniowe).

Kraków 23 sierpnia. W magistracie tutejszym odbyło się dziś szkontrum kasy miejskiej, pod przewodnictwem prezesa Friedleina. Szkontrum spowodowała nagła śmierć kontrolera kasy, p. Lipowskiego, który zmarł dziś nad ranem na udar sercowy.

Poznań 23 sierpnia. Jak donoszą gazety niemieckie, wyda w tych dniach naczelny prezes Bitter rozporządzenie, według którego studenci, którzy otrzymują od niego stypendyum z funduszu antypolskiego, zobowiązać się będą musieli nietylko do 5-letniego pobytu w księstwie po ukończeniu studyów, ale także do wyuczenia się języka polskiego.

Medyolan 23 sierpnia. Na avenue Vigentia wybuchł dziś rano wielki pożar, który ogarnął cały szereg domów. Pożar szerzy się jeszcze.

Nowy Jork 23 sierpnia. Przybyły tu z Martyniki parowiec przywiózł wiadomość o nowych gwałtownych erupcyach wulkanu Mont Pelée. Parowiec ten musiał zmienić kierunek jazdy, aby uniknąć deszczu popiołu.

Londyn 23 sierpnia. *Daily News* donoszą, że stan zdrowia królowej pozostawia obecnie wiele do życzenia. Wstrząsające wypadki ostatnich dni odbiły się niekorzystnie na jej zdrowiu. Należy się spodziewać, że obecna podróż morska przywróci królowej w całej pełni jej dawne siły.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 22 sierpnia. Hr. N. Potocka z Zatora. K. Pochwalski z Wiednia. W. Janczewski z Mińska. S. Tustanowski z Żurowa. M. Tustanowski z Podmichałowic. T. Bohdan z Milatyna. F. Leo i E. Feder z Paryża. E. Sieroczyński z Wołynia. H. Łukasiewiczowa z Żerawy.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki
ALBERT SZKOWRON

Przyjechali dnia 23 sierpnia. P. Komornicki ze Schodnicy. J. Pieniążek z Lipinki. W. Pożniak z Sandomierza. Dr. Benoni z Dynowa. Dr. M. Waryński z Kijowa. E. Dziekiewicz z Odesy. X. Fr. Mazurkiewicz z Przemyśla. X. K. Powiejski z Radomia. X. E. Józefowicz z Krakowa. X. A. Jobkiewicz z Kalwaryi. St. Cieński z Wodnik. M. Cieński z Łośniowa. G. Pasoti z Turynu.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 23 sierpnia. J. Wewiórski z Budzynowa. J. Dziedzic z Boryni. S. Antonowicz z Szepowiec. S. Franko z Przemyślan. M. Beck z Budapesztu. H. Kozakiewiczowa z Woli Rafałowskiej. A. Obertyński z Nowego Sioła. J. Lesmanowie z Kijowa. W. Zarański z Ustrzyk. J. Bęgziak ze Skolego. J. Gizowscy z Podwysokiego. H. Goldlust z Czerniowiec. A. Krokowska z Ponikwy. A. Egelhof z Wiednia. G. Kostiak z Pragi. S. Karpeles z Brodów.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 23 sierpnia.

Marki 117.10, renta majowa 101.75, węg. renta koronowa 97.90, Akcye: austr. zakł. kredyt. 681.75, węg. zak. kred. 727.00, anglobanku 276.00, unionbanku 539.—, bankvereinu 454.00, länderbanku 417.75, kolei państw. 717.50, lombardy 67.50, akcye kolei Elbethal 467.00, fabryki broń. —.—, tytoniowe 307.00, alpiny 398.00, Rima Muranyi 504.00, pragskiego Tow. żel. —·—, losy tureckie 111.50, ruble 253·00. Usposobienie spokojne.

Wiedeń 23 sierpnia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	266.—
„ „ „ „ „ 1889	3%	263.—
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k.	4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	285.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	254·80
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	90.—
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr		110·35

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.20, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 427.—, Clary 40 zł. m. k. 193.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.50, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.00. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.—, Ofen 40 zł. 185.00. Palffy 40 zł. m. k. 191.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 55.—, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·50. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 75.—, Salma 40 zł. m. k. 235.00, Pożyczka salcburska 20 zł. 76.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00 Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 424.00.

Wiedeń 23 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 17·45 (spokojnie). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (bez zmiany) 39·80.

Berlin 23 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·45. Spirytus 00·00.

Paryż 23 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·95 Mąka („Fleur de Paris") 30·35.

Frankfurt 23 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 214·90. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 184·50. Laura 000·00.

Wiedeń 23 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 6·89—6·90, na wiosnę 7·21—7·22 żyto na na jesień 6·18—6·19, na wiosnę 6·42—6·44; kukurudza na lipiec-sierpień 5·49—5·50, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·50—5·51, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·70—5·71, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień wrzesień 10·70—10·80. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: słaba. Pogoda: piękna.

Budapeszt 23 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 6·62—6·63, na kwiecień 6·94—6·95; żyto na październik 5·84—5·85, na kwiecień 6·08—6·09; owies na październik 5·38—5·39, kwiecień 5·64—5·66; kukurudza na sierpień 0·00—0·00, na maj 5·15—5·16. Rzepak na sierpień 10·20—10·30. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna słaba. Tendencya: słaba. Pogoda: piękna.

Lwów 23 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 565.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 350.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 380.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100·70 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20. 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·30 do 97.00.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99·00 do 99·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·30 do 103·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·20 do 97·90. Pożyczki kraj. z r 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97·00 do 97.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·00 do 94·70, 4½% po 200 koron 100·50 do 101.20.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50,
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9.20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 3.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano

6)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

— No i cóż?

— Potem jakieś dwa palce chwyciły mnie za nos...

Bunting roześmiał się.

— Dobrze się panu śmiać — zawołał Cuss — ale ja przestraszyłem się okropnie... Porwałem go za rękaw, potrząsnąłem nim i wybiegłem z pokoju, jak oparzony.

Cuss umilkł. Nie można było wątpić w szczerość jego strachu. Obracał się na krześle, był bardzo wzburzony; wypił drugi kieliszek lichego wina, którym go poczęstował pastor.

— Kiedym go wziął za rękaw — mówił dalej Cuss — to poczułem pod palcami ciało i kości...

— Więc rękaw nie był pusty?

Pan Bunting spojrzał na Cussa podejrzliwie.

— To dziwna historya... — rzekł — to istotnie bardzo dziwna historya... — powtórzył z naciskiem.

ROZDZIAŁ V.

Kradzież na probostwie.

O kradzieży na probostwie dowiedziano się od pastora i jego żony. Zdarzyło się to nad ranem w drugi dzień Zielonych Świątek, w dniu dorocznych zabaw w Iping.

Pani pastorowa obudziła się nagle przed świtaniem, bo jej się wydało, że ktoś otworzył, a potem zamknął drzwi od sypialnego pokoju. Nie obudziła męża, lecz usiadła na łóżku i nasłuchiwała. Doleciał ją wyraźny tupot bosych nóg; dreptały po sąsiedniej bawialni, wreszcie oddaliły się, dążąc przez sień ku schodom.

Teraz dopiero pani Bunting obudziła męża cichutko, ostrożnie. Włożył okulary, szlafrok i pantofle, wyszedł pociemku na schody i ucha nadstawił. Słyszał wyraźnie chodzenie po swoim gabinecie na dole, otwieranie biurka, a wreszcie silne kichnięcie.

Powrócił do pokoju sypialnego, uzbroił się w najgroźniejszy oręż, jaki miał pod ręką... w pogrzebacz, i zeszedł ze schodów, jak mógł najciszej. Pani Bunting wyglądała przeze drzwi uchylone.

Było około czwartej po północy; ciemności już się przerzedziły. W sieni zarysowywały się ściany i sprzęty, drzwi do gabinetu tworzyły czarną plamę.

Dokoła panowała cisza, przerywana tylko skrzypieniem schodów pod nogami pana Buntinga i szelestem, dolatującym z gabinetu.

Nagle coś brzękło, potem słychać było otwieranie szuflady i szelest papierów, następnie rozległo się półgłośne przekleństwo i potarcie zapałki. Żółty błysk oświecał pracownię.

Pan Bunting zeszedł już był i przez szparę we drzwiach mógł widzieć pulpit, otwartą szufladę, oraz świecę, płonącą na pulpicie, — ale złodzieja nie widział...

Stał, namyślając się, co zrobić; pani Bunting, blada i przerażona, zstępowała powoli ze schodów, idąc na odsiecz mężowi. Jedno tylko podtrzymywało pastora na duchu, mianowicie pewność, że złodziej był miejscowy, osiadły we wsi.

Oboje małżonkowie słyszeli brzęk pieniędzy, co świadczyło, że rabuś odszukał ich krwawe oszczędności: dwa funty szterlingów w monecie złotej po pół suwerena.

Ten dźwięk pobudził odwagę pana Buntinga. Chwycił on pogrzebacz i wpadł do pokoju, a za nim żona.

— Poddaj się!... — zawołał groźnie pastor; wtem umilkł przerażony. W pokoju nie było nikogo...

Jednak przed chwilą słyszeli kroki i brzęk pieniędzy! — to nie mogło być złudzenie słuchu... Stali oszołomieni, wreszcie pani Bunting zajrzała pod biurko, mąż jej podniósł serwetę, zakrywającą stolik od kart, potem pani pastorowa zaglądała za firanki, a pan pastor grzebał w popiołach kominka; pani pastorowa przerzucała papiery w koszu, a pan pastor zazierał do koszyka z węglami. Potem oboje stanęli na środku pokoju i patrzyli na siebie w niemem zdziwieniu.

— Byłbym przysiągł!... — szepnął pan Bunting.

— Świeca! — odszepnęła pani Bunting — kto świecę zapalił?...

— Szuflada otwarda, pieniędzy niema... — mówił pastor.

Pani pastorowa podbiegła do drzwi.

— To niepojęte, to niesłychane!... — wołała.

W sieni rozległo się kichnięcie. Wybiegli oboje; w chwili tej drzwi od kuchni stanęły otworem.

— Bierz świecę! — krzyknął pan Bunting.

Słyszeli oboje odsuwanie rygla. Pastor widział otwierające się drzwi na podwórze. Nikt przez te uchylone drzwi nie wyszedł; otworzyły się i zamknęły same...

W chwili tej zgasła świeca, przyniesiona przez panią Bunting z gabinetu. Stali oboje na progu, obawiając się wejść do kuchni.

Izba była pusta. Zamknęli znowu i zaryglowali drzwi, prowadzące na podwórze, zajrzeli we wszystkie kąty, nawet do stągiewki z wodą i wreszcie zeszli do piwnicy.

W całym domu nie znaleźli żywej duszy, pomimo najściślejszych poszukiwań.

Już było dobrze widno, a jeszcze ze świecą lustrowali każdy pokój zosobna.

— To niesłychane!... — powtarzał pastor po raz dwudziesty może.

— Patrz... Zuzia schodzi z poddasza — szepnęła pani pastorowa. — Schowaj się za drzwi, a jak wejdzie do kuchni, wracaj na górę.

ROZDZIAŁ VI.

Meble poszalały.

Tego samego dnia, drugiego Zielonych Świątek, skoro świt, zanim jeszcze utrapiona Millie wstała do swojej codziennej roboty, małżonkowie Hall, obudziwszy się wcześniej, niż zwykle, zeszli do piwnicy. Wiodły ich tam sprawy tajemne i będące w ścisłym związku z piwem, sprzedawanem w gospodzie.

Zaledwie znaleźli się w piwnicy, gdy pani Hall przypomniała sobie, że zostawiła w pokoju sypialnym butelkę z salsaparillą.

Ponieważ była ekspertem i główną sprawczynią zmian w składzie chemicznym piwa, zatem Hall został wyprawiony na górę po butelkę.

Przechodząc przez sień, zdziwił się, że drzwi od pokoju gościa są otwarte. Wszedł do sypialni, znalazł butelkę i wracał z nią; czekało go nowe zdziwienie...

Spostrzegł, że drzwi wchodowe są zamknięte tylko na klamkę, choć zostały zaryglowane wieczorem.

Nie był z natury domyślnym, jednak odrazu zestawił ten fakt z drugim, a mianowicie z otwartemi drzwiami pokoju gościa i dostrzegł pomiędzy obu faktami pewien związek. Przypomniały mu się też ostrzeżenia p. Henfrey.

Wczoraj wieczorem sam przyświecał żonie, gdy drzwi zamykała na rygiel... Stał chwilę, przyglądał się drzwiom odryglowanym, wreszcie, nie rozstając się z butelką, powrócił na górę.

Zapukał do drzwi Nieznajomego — nie było odpowiedzi. Zapukał znowu, popchnął drzwi i wszedł.

Przypuszczenia jego sprawdziły się. Łóżko było puste, pokój również, a co dziwniejsza, co zastanowiło nawet niebystrego wcale pana Hall, że na krześle leżało ubranie, jedyny garnitur Nieznajomego i bandaże, którymi miał głowę owiniętą. Nawet kapelusz o szerokich skrzydłach pozostał na łóżku.

Hall wszystko to rozważał, powoli wyprowadzając wnioski; rozmyślania te przerwał mu groźny głos żony, dochodzący z czeluści piwnicznych.

— Cóż tam się bawisz?... — krzyczała pani Hall.

Pobiegł do niej co tchu.

— Joasiu.. — szeptał, pędząc po schodach.— To, co mówił Henfrey, jest widać prawdą. Jego w pokoju niema, a drzwi otwarte...

Pani Hall nie mogła zrozumieć w pierwszej chwili, a gdy wreszcie zrozumiała, o co chodzi, nie ufając, jak zwykle, mężowi, zapragnęła przekonać się na własne oczy i pusty pokój zobaczyć.

Hall, wciąż z butelką w ręku, szedł naprzód.

— Jego niema, a ubranie jest... — mówił.— Jak on mógł wyjść bez ubrania?... To dziwne!

Gdy wychodzili z piwnicy do sieni, widzieli wyraźnie, że drzwi wchodowe otworzyły się, a potem zamknęły się same. Pani Hall wysunęła się naprzód i pobiegła na górę.

W sieni ktoś kichnął. Hall, idący o parę kroków za żoną, słyszał to kichnięcie; ona usłyszała je także, ale była pewna, że to mąż kicha. Wbiegła, otworzyła drzwi od pokoju gościa i rozejrzała się.

To dziwne!... — rzekła półgłosem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.**

Papier z fabryki Czerlańskiej.

Z drukarni E. Winiarza.